OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 5 CHOJNICE Nr. 30

Ewangelja.

W on czas: przyszli do Jezusa Faryzeuszowie i spytał go jeden z nich zakonny Doktór, kusząc go: Nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w zakonie? rzekł mu Jezus: będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego,.i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. To jest największe i piewsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie. Na tem dwojgu przykazaniu wszystek zakon zwisł i prorocy. A gdy się Faryzeuszowie zebrali, spytał ich Jezus mówiąc: co się wam zda o Chrystusie? czyj jest syn: rzekli mu: Dawidów. Rzekł im: jakoż tedy Dawid zowie go Panem, mówiąc: rzekł Pan Panu memu, siedź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjacioły twoje podnóżkiem nóg twoich? jeżli tedy Dawid zowie go Panem, jakoteż jest synem jego? A żaden nie mógł mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od owego dnia więcej go pytać.

Nauka.

Między sektami żydowskiemi, za czasów Chrystusa Pana, byli faryzeusze i sadyceusze trzymając się błędnego mniemania przeciw jasnym dowodom Pisma św., nie wierzyli w zmartwychwstanie ciał. Zadawali przeto Chrystusowi Panu w tej mierze pytania, ale Zbawiciel taką im dał odpowiedź, że się błędu swego zawstydzić musieli i zamilkli, jako w tymże rozdziale jest opisanem.

Usłyszawszy to faryzeusze, rozumiejąc coś wiecej o sobie, też chcieli Pana kusić i zszedłszy razem, wybrali z pomiędzy siebie jednego doktora, który przystąpił do Chrystusa Pana i zapytał: nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w Zakonie? Pytał Go, nie jako uczeń mistrza swego, aby się czego nauczył, ale jako zdrajca, aby Go czem podchwycił; aby zdradził podszedł, jako szatan, zwykł kusić Chrześcijanina; pięknemi słowy przemawia, ale serce pełne nienawiści i zdrady.

Naukę ztąd mamy, najmilsi Chrześcijanie, abyśmy nie zawsze pięknym słowem wierzyli. Bo jeśli Chrystusowi Panu zadawano tak zdradliwe pytanie, czyż sądzimy, że będziemy wolnymi od tego? I Jan św. apostół ostrzega nas, abyśmy doświadczali duchów, ażali z Boga są? Takich bowiem chytrych i podstępnych ludzi zawsze pełno było.

Strzeżmy się więc ich, a strzeżmy się pilnie, bo tacy wilcy w owczej skórze z pięknemi słowy przychodzą, jako Zbawiciel ostrzega...

Rozumiał ten doktor przewrotny, że w wielkiej liczbie przykazań Bożych jedne były większej wagi, a drugie mniejszej. Żydzi niektórzy za największe przykazanie uważali pożywać Baranka Wielkanocnego, gdyż im to przykazanie najpierwej dał Pan Bóg w Egipcie. Drudzy dowodzili, że obrzezanie nakazane jeszcze Abrahamowi, jest największem przykazaniem; niektórzy szanowanie szabatu; inni wreszcie czynienie ofiar itp.

Ponieważ wielość przykazań Starego Zakonu dwojakim sposobem była od Boga dana, to jest, jedne na tablicach kamiennych pisane, a drugie ustnie ogłoszone, dla tego też ów kusiciel pyta w odległości: które jest największe przykazanie, sądząc, iż Chrystus Pan przychyli się do ich sporów, jakie z sobą w tej mierze prowadził!. O tych zaś przykazaniach, które Pan Bóg dał Mojżeszowi na kamiennych tablicach, ów doktór nie wspomniał, sądząc, że w tem Zbawiciela zdoła podejść zdradnie. Patrzmy co Chrystus Pan na to odpowiedział;

Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej: toż jest największe i najpierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie.

Chociaż Chrystusowi Panu nie tajną była obłuda pytającego, jednak prawdy przed nim nie zataił ale, wyrzekł do niego słowa, godne zaiste Tego, który jest źródłem wszelkiej mądrości

Widzimy zatem, że przykazanie miłości Bożej Chrystus Pan zowie najpierwszem, nie żeby z porządku Pisma św. było ono pierwszem, ale ponieważ do niego ściągają się inne przykazania. Kto bowiem Pana Boga swego ze wszystkiego serca, duszy i myśli miłuje, to jest: kto nic przeciwko Niemu, nic mimowoli Jego, nic nad Boga nie miłuje, ale Samego we wszystkiem i nadewszystko miłuje, ten już wszystek zakon wypełnił; ten już nie będzie miał nad Boga prawdziwego innego boga; nie będzie brał nadaremnie imienia Jego; będzie rad święcił dni od Niego ustanowione; będzie miłował bliźniego swego, tak jako samego siebie, gdyż to jest drugie przykazanie temu pierwszemu podobne. Bo kto nie miłuje brata swego, którego widzi, mówi Jan św., jako ten może miłować Boga, którego nie widzi.

Kardynał Wiesemann.

FABIOLA.

Podczas kąpieli Sebastjana, stary sługa spisał na kawałku pergaminu, wszystko, co tylko żona słyszała o zamiarze natychmiastowego napadu na podziemne cmentarze i osobę Ojca św. i przypiął wewnątrz sukni Sebastjana, której podczas kąpieli pilnował, nie mogąc mówić w obecności innych osób.

Sebastjan po kąpieli poszedł do sali, gdzie rozmawiano o wypadkach rannych, i gdzie Fulwjusz oczekiwał na znak Korwina, iż wszystko gotowe.

Znudzony niedorzeczną rozmową, wyszedł ku górze Palatyńskiej, i czując, że go coś na piersiach kłuje. znalazł pod tuniką przypięte pismo. Ostrzeżenie było dosyć ważne, aby obrócić kroki Sebastjana ku dro dze apiańskiej dla zaniesienia wiadomości braciom w cmentarzach zgromadzonym.

Znalazłszy jednak zwinniejszego od siebie i bezpieczniejszego posłańca w osobie biednej niewidomej dziewczyny, na którą nikt nie uważał, zatrzymał ją, oddał pismo i dodawszy kilka słów od siebie, kazał odnieść na miejsce jaknajprędzej.

Istotnie też zaledwie opuścił łazienki, Fulwjusz odebrał wiadomość, że Korwin i jego zgraja, śpieszą o tym czasie przez pola w tym celu uniknięcia podejrzeń — do miejsca wiadomego. Wsiadł natychmiast na konia i jechał gościńcem właśnie wtenczas, gdy żołnierz rozmawiał z ociemniałą posłanniczką.

Gdyśmy towarzyszyli grabarzom do katakumb, nie doszliśmy do podziemnego kościoła dlatego, iż Sewerus nie dowierzał Torkwatowi. Tam było teraz zgromadzenie wiernych pod sterem głowy Kościoła, gdy Korwin i jego siepacze przybyli do drzwi cmentarza — zkąd droga, którą znał Torkwat prowadziła na dół po schodach od wchodu zamaskowanego zwaliskami starego budynku i kupami faszyny.

Tu się podzielili. Fulwjusz na czele oddziału 12-tu ludzi stanął na czatach u wchodu, aby zatrzymać każdego, coby chciał wyjść albo wejść. Korwin zas z Torkwatem i miejszym oddziałem gotował się do zejścia.

— Nie lubię tej podziemnej roboty, rzekł siwobrody legjonista; jestem żołnierzem. ale nie łapaczem szczurów, niech mi przyprowadzą kogo chcą na dzienne światło, a będę walczył, ale nie chcę być zaduszony, jak kret w jamie.

Mowa ta trafiła do przekonania żołnierzy. Trzeba było całej wymowy Fulwjusza, aby ich zachęcić. Zapewnił że się nie mają czego obawiać, że chrześcijanie będą uciekać przed nimi, jak zające, i że znajdą w kościołach więcej złota i srebra niż całoroczny żołd. Tak podbudzeni ruszyli, spuszczając się po schodach. Wkrótce zaczęły im się ukazywać tu i ówdzie blade światełka, zamglone oddaleniem, a przez to samo dające przerażającą miarę głębi i przeprzestrzeni tych pieczar.

— Słuchajcie! — rzekł jeden z żołnierzy.

Jakiś młodzieńczy głos dochodził z dołu przytłumiony oddaleniem, lecz tak czysty, iż słowa pieśni rozpoznać można było.

„Pan oświecenie moje i zbawienie moje; kogóż się będę bał?

„Chociażby obozy przeciw mnie stanęły, nie ulęknie się serce moje.

Wstyd z gniewem pomieszany opanował napastników, gdy usłyszeli te słowa spokojnej ufności i odwagi.

— Zdaje mi się, iż znam ten głos, zamruczał Korwin; poznałbym go z pomiędzy tysiąca. To dla mnie truzcizna — przyczyna przekleństw całej zeszłej nocy— i dzisiejszych trudów, to głos Pankracjusza, który po targał edykt.

— Ale, odrzekł jeden, zapalmy pochodnie.

— Słuchajcie! — rzekł drugi, gdy byli zajęci zapalaniem, co to za dziwny hałas, jakgdyby ktoś drapał i bił młotem w oddaleniu? Słyszę to już od jakiegoś czasu!

— Patrz, dodał trzeci, światła w oddaleniu zniknęły, a śpiew ustał. Jesteśmy z pewnością odkryci.

— Ten hałas pochodzi jedynie od tych starych kretów, grabarzy, Djogenesa z synami, rzekł Torkwatus; oni właśnie kują groby dla chrześcijan, którzy naszej wyprawy ofiarą paść mają.

Radził też żołnierzom, aby nie przynosili pochodni, ale raczej kaganki, albo woskowe świece i sam miał taką. Lecz żołnierze przysięgli, że nie zejdą na dół bez dobrego światła. Skutki wkrótce dały się poznać; w miarę jak szli naprzód, smolne pochodnie trzeszczały i świeciły płomieniem gorącym, który ich parzył, a gęsty smolny dym od sklepienia upadający zaduszał i zaślepiał idących.

Torkwat prowadził zadymiony hufiec, rachując przecznice w prawo i w lewo. podług notatek swoich; wszystkie zaś znaczki na miejscu zostawione, zastał starannie usunięte, a doszedłszy do połowy naliczonych przecznic, trafił na nieprzebyte zwaliska. Drogi już nie było Nie wiedział nikczemnik, że bystrzejsze niż jego oczy, były na straży.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do mojej ziemi.

Jak cię nie kochać ziemio rodzinna,
Szumiąca zbożem, pieśnią dziękczynną.
I w wonne kwiaty mi umajona,
Pieśnią śpiewaków Twych rozdźwięczona.

Jak was nie kochać lasy zielone,
Wy białe brzozy — wierzby zgarbione.
Za błogie dumki w waszym powiewie,
Za miłe baśnie w cichutkim śpiewie.

Jak was nie kochać błękitne wody,
Kiedy nad wami pełen swobody
Bujam jak motyl w słonecznym złocie,
Kiedy mnie pieszczą tych kwiatków krocie.

Jak was nie kochać niwy złocone,
Z ciężkich kłosy tak rozmarzone.
W poszumie wiatru pieśnią szumiące,
Srebrnemi sierpy cicho dzwoniące.

Jak was nie kochać wy szare łany,
Na których osiadł mój lud kochany.
Który tak przylgnął do szarej roli,
I los z nią dzieli w doli, niedoli.

Jak cię nie kochać ziemio kochana,
W świelanej zorzy cicho skąpana.
Za te, kurhany — które w całuny,
Kryją powoje — dzikie piołuny.

Za twoje cuda, za twe jasności,
Darzyć cię będę ogniem miłości.
I w twojej służbie poświęcę siebie,
Ziemio ma droga — jam ukochał ciebie.

Pielgrzym.

I.

Jakób Cambar, stuletni starzec, był niegdyś dzielnym żołnierzem; wiele mówiono o jego męstwie i poczciwości, ale osłabiony wiekiem, wyniszczony chorobą, leżał od dawna w łóżku nie mogąc się ruszyć.

Miał on trzech synów. Pewnego poranku woła przeto do siebie najstarszego z nich i rzecze:

— Pódź tu, synu mój. Nie mogąc spać tej nocy, przypominałem sobie, że w jednej bitwie przyrzekłem Panu Bogu odbyć pielgrzymkę do Rzymu. Ale, niestety! że zastarzałem się i nie mogę podróżować, chciałbym, żebyś ty, synu mój, poszedł za mnie. Obawiam się śmierci, nie dopełniwszy ślubu mego.

A syn na to:

-- Co ci ojcze przyśniła się naraz pielgrzymka do Rzymu! . . . Jedz, śpij, wiele chcesz . . . my mamy inne, pilniejsze zatrudnienie.

Następnego dnia Jakób Cambar woła młodszego syna:

— Słuchaj synu — rzecze do niego — stękając i nie śpiąc tej nocy, przypominam sobie, że na wojnie, w niebezpieczeństwie śmierci, przyrzekłem Panu Bogu pielgrzymkę do Rzymu. Teraz niestety, stary jestem nie mogę go dopełnić, chciałbym, żebyś ty poszedł za mnie.

A syn rzecze:

— Ojcze, za kilka tygodni wiosna, trzeba będzie kopać, orać, winnice obcinać Starszy brat popędzi bydło w góry, najmłodszy jeszcze dzieciak . . . Któż dopatrzy robotników, kiedy ja będę włóczył się po świecie? . . . Ojcze, jedz, pij, śpij, i daj nam spokój.

Następnego poranku biedny starzec woła najmłodszego syna.

— Armandzie, dziecię moje — rzecze do niego — przyrzekłem Panu Bogu odbyć pielgrzymkę do Rzymu . . . Posłałbym ciebie w moje miejsce, aleś ty za młody; nie znasz drogi, podczas gdy w te strony bardzo daleko; obawiam się, żebyś nie zabłąkał się . . .

— Ja pójdę, ojcze — odpowiada Armand.

— Nie pójdziesz, ja nie pozwalam! — krzyknie matka . . . — Ten stary gaduła z swą wojną i Rzymem, wszystkim choroby napędzi . . . Nie dosyć przez cały rok słuchać jego stękania . . . Jeszcze wysyła biedne dziecię na stracenie w świat daleki!

— Matko! — rzecze chłopiec — wola ojca, to wola Boża; a kiedy Bóg każe, trzeba słuchać.

I Armand nic więcej nie mówiąc, nalał wina do bańki, włożył do worka bułkę chleba i kilka cebulek, zarzucił płaszcz na plecy, przywdział nowe trzewiki i wziął dobry kij dębowy w rękę. Uścisnął jeszcze raz starego ojca, który mu dał wiele dobrych rad, pożegnał krewnych i poszedł.

II.

Ale pierwej nim się udał w drogę, poszedł wysłuchać Mszy świętej, oddał się w opiekę Panu Jezusowi, Najśw. Matce Jego i oto wychodząc z kościoła, spotyka pięknego młodzieńca, który mu rzecze:

— Bracie! czy nie do Rzymu idziesz?

— Do Rzymu odpowie Armand.

— Ja także . . . Jeżeli chcesz pojedziemy razem.

— Ależ jak najchętniej.

A piękny ten młodzieniec był to Anioł, którego Pan Bóg posłał mu za przewodnika.

Anioł i Armnad puścili się w drogę do Rzymu. Wszędzie zachodzili do kościołów, słuchali Mszy świętej, śpiewali Psalmy i pieśni nabożne . . .

I tak wesoło, to po deszczu, to po słocie żebrząc chleba, z tłómoczkiem na kiju, przybyli nareszcie do świętego grodu.

Gdy nieco odpoczęli, poszli do wspaniałej Bazyliki św. Piotra odprawili swe modlitwy, zwiedzili wszystkie kościoły i święte miejsca, uczcili relikwie św. Apostołów Piotra i Pawła, Dziewic i Męczeników, drzewo Krzyża świętego, nakoniec poszli upaść do stóp Ojca świętego, który im udzielił błogosławieństwa Apostolskiego.

Pewnej nocy, gdy pielgrzym z towarzyszem spoczywał spoczywał strudzony, widzi siebie wraz z ojcem w Raju, w chwale niebiańskiej, a matkę i braci w piekle, w ogniu gorejącym . . .

-- Boże mój! Boże mój — zawołał Armand — chciałbym z tego ognia wybawić matkę i braci swoich!

— Twych braci, niepodobna — bo oni byli nieposłuszni Bogu; ale matkę może wybawisz, kiedy ona spełni choćby trzy miłosierne uczynki.

Armand się obudził . . . Anioł znikł . . .

Napróżno pielgrzym czekał na niego, szukał, pytał, nigdzie go nie znalazł. Od tego czasu, pobożny chłopczyk we wszystkich gorących modlitwach w Rzymie w drodze, we Mszach św., których wiele słuchał, przez Krew Chrystusową błagał Boga o zbawienie swej matki i braci.

Nareszcie poszedł na brzeg morski, nabrał wiele konch, muszli, ubrał niemi swój kapelusz i płaszcz i tak powoli przez góry i lasy, żebrząc i modląc się, wrócił do kraju i do wioski rodzinnej.

III.

Dwa lata był na pielgrzymce. Wyschły i ogorzały od słońca, okryty szkaplerzami, konchami kurzem, zmienił się bardzo i w istocie nikt go też nie poznał. Przyszedł prosto do domu. Pukając do drzwi rzecze pokornie:

— Dla miłości Pana Boga dajcie jałmużnę biednemu pielgrzymowi.

— Ha! — krzyknie swarliwa kobieta — nieznośni jesteście, codzień tu przychodzicie, włóczęgi, próżniaki!...

— Kochano żono — rzecze stary Cambar — daj mu cokolwiek; kto wie, może nasz syn w podobnej jest potrzebie.

— A, tak — i mrucząc kobieta ukroiła kawał chleba i dała ubogiemu.

Nazajutrz pielgrzym wraca do drzwi domu rodzicielskiego i prosi:

— Dla miłości Pana Boga, moja pani, dajcie jałmużnę biednemu pielgrzymowi.

— Jeszcze ty tu! — krzyknie stara. — Wiesz, żem ci wczoraj dała . . . Próżniaki te wszystko by zjedli!

— O! moja kochana — rzecze Jakób — tyś wczoraj jadła, a czy dziś nie jesz? kto wie, czy nasz syn nie jest w takiej nędzy!

I niewiasta znowu wzruszona ukroiła kawałek chleba i dała ubogiemu.

Trzeciego dnia Armand wrócił znowu do domu rodziców.

— Dla miłości Pana Boga — rzecze — czy nie dacie nocnego przytułku biednemu pielgrzymowi?

— O moja dobra żono — rzecze Jakób — nie odpychaj ubogiego, bo Boga odepchniesz, idź, daj mu przytułek. Kto wie czy nasze dziecię nie leży gdzie na deszczu i słocie?

— To prawda — rzecze kobieta. — I poszła, otworzyła drzwi do obory, gdzie biedny chłopak spoczął w kącie na słomie.

Nazajutrz o świcie matka i bracia otwierają oborę, a tu światłość niebiańska dokoła. Pielgrzym umarły blady, skostniały leży wśród czterech gorejących pochodni. Słoma pod nim jaśnieje światłością! . . . W górze pajęczyny wiszą na belkach, jako promienie ozdoby katafalku. Bydło w oborze, osły i woły ze łzawem okiem i ze czcią spoglądają. Wonność fiołków napełnia to nędzne schronienie, pod-

zas gdy ubogi żebraczek, już w ciele uwielbiony, trzyma w ręku papier na którym napisano:

— Jestem waszym synem Armandem . . .

Pobożny pielgrzym wypełnił ślub swego ojca i pozyskał duszę matki. Posłannictwo jego skończone!

Wszyscy żegnając się Krzyżem świętym padli na kolana, wielbiąc imię Boże!

Jak Papież Urban IV uszanował swego ojca szewca.

W francuskiem mieście Troyes (czytaj: Troa) żył około 1200 roku szewc, imieniem Pantaleon. Cenił on bardzo wysoko swoje rzemiosło, dla tego też w swych marzeniach rodzicielskich nie znajdował nic świetniejszego dla swego syna Jakóbka, zwanego także z drugiego imienia Pantaleonem, jak ujrzeć go kiedyś zdolnym majstrem rzeczonego kunsztu. Nie badając więc synowskich skłonności i usposobień, starał się wzbudzić w nim zamiłowanie do szewstwa, a jeżeli nie starczały słowa, używał do pomocy pocięgla.

Jakóbek, jako dobry i posłuszny syn, znosił pokornie postępowanie ojca i spełniał rozkazy, jak mógł najlepiej chociaż nie czuł dla szewstwa żadnego powołania. Mimo to kręcił dratwy, smarował je pakiem i klepał na kamieniu młotkiem podeszwy, a starał się robić to wszystko dobrze i żwawo — dobrze dla tego, że był sumiennym, a żwawo, aby po skończeniu wyznaczonej roboty mieć kilka wolnych chwil dla siebie.

Może jesteście ciekawi, jak nasz Jakubek chwil tych używał. Otóż jak tylko skończył robotę, tak zaraz wydobywał ukrytą pod obrzynkami skór pergaminową książeczkę, darowaną mu przez zakonników sąsiedniego klasztoru, siadł przy warsztacie własne swoje wykonywać rzemiosło, to jest uczył się czytać, a ile razy napotkał trudność, jakiej własnym rozumem pokonać nie zdołał, wymykał się z izby i biegł do klasztoru, gdzie mu znajomi zakonnicy chętnie udzielali żądanych objaśnień.

Z przykrością widział majster Pantaleon te wycieczki syna do klasztoru, — dla tego — nieraz go surowo upominał i karał. Jakóbek przyjmował z pokorą upomnienia ojca, ale chęć do nauki tak w nim silnie rozgorzała, że wolał się narażać na połajanie lub karę, aniżeli odmówić sobie rozkoszy, jaką znajdował w nauce.

Zakonnicy, oceniając zdolności chłopca i jego chęć do nauki, starali się nakłonić ojca, aby im powierzył syna jedynaka na wychowanie, ale Pantaleon nie chciał na to pozwolić. Widząc jednakże, iż syn oraz mniej czuje pociągu do szewstwa, tak rzekł do siebie: „Nie udał mi się chłopiec.. i sam Bóg widzi, że nie moja w tem wina. Nie będę miał tej pociechy, aby był dzielnym szewcem. Niechże idzie do klasztoru, jeżeli nie może być inaczej".

Powziąwszy to postanowienie, poszedł z Jakóbkiem do klasztoru, a oddając go pod opiekę przełożonemu, zalecił synowi surowo, aby był posłuszny i aby chętnie służył zakonnikom; poczem pocałował go w głowę i pożegnał ze łzą w oku.

Zakonnicy, którzy w młodzieniaszku dostrzegli niezwykłą pojętość, oraz chęć do nauki i wiele innych pięknych przymiotów, jakie uszły baczności ojca, ucieszyli się nie zmiernie z nabycia chłopca, rokującego najpiękniejsze na przyszłość nadzieje. To też nie użyli go do ręcznych posług, ale umieścili zaraz w seminarjum, tj. w szkole w której się przysposabiali młodzieńcy na księży.

Jakób Pantaleon nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, gdyż żył cnotliwie i pilnie się uczył. —

W 24 roku życia został wyświęcony na kapłana, a niedługo mianowano go przełożonym klasztoru. Jego wielka nauka a większa jeszcze pobożność zwróciła nań uwagę papieża. Mianowany kardynałem i legatem, tj. posłem papieskim, został ksiądz Jakób Pantaleon wysłany do Wrocławia gdzie 1247 r. przewodniczył zebraniu polskich biskupów.

Po zgonie Aleksandra IV. został Jakób. syn szewca, wyniesiony na na najwyższą godność w chrześciańsiwie, gdyż wybrano go papieżem. Pod imieniem Urbana IV. rządził chlubnie kościołem katolickim od 1261 do 1264 r. Jaśniał wielkiemi cnotami, szczególnie zaś odznaczał się niezwykłą czcią i miłością dla ojca.

Szewc Pantaleon, dowiedziawszy się, że jego syn został wybrany papieżem, uszył dla niego piękne obuwie i udał się w podróż do Rzymu. Urban IV. gdy mu dano znać o przybyciu ojca, wyszedł na jego spotkanie, a klęknąwszy przed starcem, ucałował jego nogi.

Trwalszy on jeszcze wystawił pomnik swego synowskiego przywiązania, który dotrwał do naszych czasów. Wystawił on w rodzinnym mieście w tem samem miejscu, gdzie stał niegdyś domek ojcowski, piękny kościół, który dotąd się wznosi. Na pamiątkę zaś swego pochodzenia kazał wymalowac obraz swego ojca, szyjącego buty i umieścić go w kościele.

Jak chłop zabił djabła.

Hucznie bawiono się w czasie zapust w miastach pomorskich około roku 1440, a już szczyt rozpusty osiągało się w „ostatkach". Po ulicach Torun a krążyli wówczas przebrani młedzieniaszkowie, skacząc i psocąc co się zmieści.

W owych dniach przyjechał do Torunia z okolicy pewien gospodarz, mając na wozie starą swą matkę. Rozbawieni mieszczuchy — przebrani za djabłów — zaczęli napastować kobietę. Gdy gospodarzowi sprzykrzyły się w końcu żarty rozpustników, złapał za kłonicę i z całej siły zdzielił jednego z „djabłów", tak, że tenże legł na ulicy.

Towarzysze „djabła" — widząc co się święci — pouciekali.

Gospodarza zaaresztowano pod zarzutem zabójstwa. Chciano rozpoznać zabitego; okazało się wówczas, że pod powłoką ubrania i maski krył się tylko cuchnący popiół.

Gospodarza uwolniono, bo przekonano się, że rzeczywiście zabił djabła.

Wesoły kącik.

Okoliczność łagodząca i obciążająca.

Wyznawca Brahmy umarł i stanął przed obliczem najwyższego bóstwa.

— Byłeś już w czyścu? — pyta Brahma.

— Nie! ale byłem żonaty.

— To na jedno wychodzi, możesz iść do nieba.

— Słysząc to drugi współwyznawca, postanowił przelicytować swego poprzednika.

— Byłeś żonaty? — pyta się następnego Brahma.

— Tak, nawet dwa razy — odpowiada z dumą.

— Idź do piekła, my w niebie głupców nie potrzebujemy.

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego". w Chojnicach.